Isaac Asimov

Kiepski misjonarz

(Misbegotten Missionary)

`

Galaxy Science Fiction, November 1950
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Prześlizgnął się na pokład statku! Całe dziesiątki czekały na zewnątrz bariery energetycznej, kiedy wydawało się, że to czekanie nic nie da. W pewnej chwili jednak bariera osłabła na okres dwu minut (co pokazywało wyższość zunifikowanych organizmów nad fragmentarycznymi istotami żywymi) i udało mu się przez nią przedostać.

Nikt z pozostałych nie był w stanie poruszać się na tyle szybko, aby wykorzystać tę przerwę, ale to nie miało znaczenia. Wystarczył on sam. Inni nie byli potrzebni.

Myśl ta rozpłynęła się, przechodząc z satysfakcji w samotność. Takie oddzielenie od całej reszty zunifikowanego organizmu, zamiana w „ja”, odrębny żywy fragment, było strasznie nieszczęśliwym i nienaturalnym uczuciem. Jak ci obcy mogli wytrzymać takie życie jako odrębne fragmenty?

To powiększyło jego współczucie dla obcych. Teraz, kiedy sam doświadczył fragmentacji, mógł poczuć, tak jakby ze znacznej odległości, straszliwą izolację która tak go przerażała. To zrodzony z tej izolacji strach dyktował im sposób zachowania. Co poza szaleńczą obawą przed takim stanem, mogło spowodować wypalenie przez nich terenu o średnicy jednej mili i zamianę go w ciemno-czerwone pogorzelisko, przed wylądowaniem statkiem? Nawet zorganizowane istoty żyjące dziesięć stóp w ziemi, zostały zniszczone w wyniku tego ognistego podmuchu.

Uruchomił receptory, nasłuchując z uwagą, pozwalając by przepełniły go obce myśli. Cieszył się z odczucia dotyku żywych istot na swej świadomości. Będzie musiał racjonować sobie tę radość. Nie może zapomnieć swojego własnego ja…

Ale nasłuchiwanie myśli, nie powinno mu zaszkodzić. Niektóre z żywych fragmentów na tym statku myślały całkiem wyraźnie, biorąc pod uwagę fakt, że były takimi prymitywnymi, niekompletnymi stworzeniami. Ich myśli brzmiały jak malutkie dzwoneczki.

Roger Oldenn oznajmił:

— Czuję się skażony. Wiesz o co mi chodzi? Bez przerwy myję ręce, ale to nic nie pomaga.

Jerry Thorn nie cierpiał dramatyzowania i nawet nie uniósł wzroku. Ciągle jeszcze manewrowali w stratosferze Planety Saybrooka i wolał obserwować panele z przyrządami. Odparł:

— Nie ma powodów do takich odczuć. Nic się nie stało.

— Mam nadzieję, że nie — stwierdził Oldenn. — A przynajmniej wiem, że wszyscy ludzie z wypraw polowych musieli zrzucać z siebie skafandry kosmiczne w śluzie, do kompletnej dezynfekcji. Każdy człowiek wchodzący z zewnątrz, brał kąpiel radiacyjną. *Przypuszczam*, że nic się nie stało.

— Skąd więc te nerwy?

— Nie wiem. Że też Bariera się załamała.

— A kto tego nie żałuje? To był wypadek.

— Tak się zastanawiam — Oldenn zareagował gwałtownie. — Byłem tam, kiedy to się wydarzyło. Wiesz, to się stało na mojej wachcie. Nie było żadnego powodu, dla wystąpienia przeciążenia linii energetycznej. Sprzęt, który był do niej podłączony, nawet się nie zbliżał do niebezpiecznego poziomu. Ni cholery.

— No, dobrze. Ludzie są głupi.

— Nie aż tak głupi. Kręciłem się w okolicy, kiedy Stary sprawdzał tę sprawę. Nikt z nich nie miał nawet rozsądnej wymówki. Obwody wyżarzania pancerza, które ciągnęły po dwa tysiące watów, zostały podłączone pod linię Bariery. Powinni przez tydzień używać pomocniczych środków zasilających. Dlaczego tym razem, tego nie zrobili? Nie potrafili podać żadnego powodu.

— A ty, potrafisz?

Oldenn zarumienił się.

— Nie. Ja tylko tak się zastanawiam, czy czasami ci ludzie nie zostali — przez chwilę szukał słowa — zahipnotyzowani, żeby to zrobić. Przez te stworzenia na zewnątrz.

Thorn uniósł wzrok i stanowczo popatrzył Oldennowi w oczy.

— Na twoim miejscu, nie powtarzałbym tego nikomu. Bariera była wyłączona tylko przez dwie minuty. Gdyby cokolwiek się stało, gdyby nawet źdźbło trawy przedryfowało przez nią, to w ciągu pół godziny pokazałoby się to w naszych kulturach bakteryjnych, a w ciągu paru dni w koloniach muszek owocowych. Zanim ruszyliśmy z powrotem, pokazałoby się to u chomików, królików, a może nawet u kóz. Wbij sobie po prostu do łba, Oldenn, że nic się nie stało. Nic.

Oldenn odwrócił się na pięcie i wyszedł. Kiedy wychodził, jego stopa dotknęła podłogi w odległości co najwyżej dwu stóp od obiektu w rogu pomieszczenia. Nie zauważył go.

Odłączył centra recepcyjne i pozwolił, aby myśli przepływały przez niego nieodbierane. W każdym razie, te żywe fragmenty były nieistotne, ponieważ nie były zdolne do kontynuacji życia. Nawet jako fragmenty, były niekompletne.

A teraz, te inne fragmenty… One były odmienne. Musiał na nie uważać. Pokusa będzie wielka, a jemu nie wolno było zostawić śladów, absolutnie żadnych, swojej obecności na pokładzie statku, dopóki nie wylądują na ich ojczystej planecie.

Skupił się na innych częściach statku, zdumiewając się różnorodnością istot żywych. Każda z niech, nieważne jak mała, była samowystarczalną całością. Zmusił się do ich kontemplowania, dopóki nieprzyjemny charakter ich myśli nie zirytował go i nie zatęsknił za normalnością domu.

Większość myśli, które odbierał od małych fragmentów, były rozmyte i ulotne, tak jak można się było tego spodziewać. Niezbyt wiele od nich

otrzymywał, ale to oznaczało tylko, że ich potrzeba kompletności była jeszcze większa. To właśnie tak ostro go ubodło.

Jeden z żywych fragmentów usiadł na pośladkach i wodził palcem po drucianej siatce, która go otaczała. Jego myśli były wyraźne, ale ograniczone. Dotyczyły one głównie żółtego owocu, jedzonego przez towarzyszący mu fragment. Tylko rozdzielająca oba fragmenty siatka zapobiegała zabraniu przez niego owocu siłą.

Wyłączył odbiór, pozwalając sobie na chwilę kompletnego obrzydzenia. *Te fragmenty konkurowały o jedzenie*!

Spróbował sięgnąć daleko poza statek, szukając spokoju i harmonii domu, ale te były już ogromnie daleko. Wychwytywał tylko nicość, która oddzielała go od zdrowia psychicznego.

W tej chwili tęsknił nawet za odczuciami z martwej ziemi między Barierą, a statkiem. Skradał się przez nią, ostatniej nocy. Nie było w niej życia, ale zawsze była to ziemia ojczysta, a z drugiej strony Bariery napływały uspokajające uczucia reszty zorganizowanego życia.

Pamiętał chwile, kiedy przyczepił się do powierzchni statku, utrzymując rozpaczliwie chwyt przyssawek, aż do czasu gdy nie otworzyła się śluza powietrzna. Dostał się do środka, ostrożnie przekradając się pomiędzy stopami wychodzących. Tak znalazł się w śluzie wewnętrznej i potem przedostał się dalej. A w tej chwili, leżał tutaj, sam będąc żywym fragmentem, bez ruchu i niezauważany.

Ostrożnie włączył ponownie odbiór, koncentrując się na tym samym celu. Kucający żywy fragment szarpał z furią drucianą siatkę. Ciągle pragnął pożywienia tego drugiego, chociaż to on był mniej głodny z ich dwojga.

Larsen oznajmił:

— Nie karm tego cholernego zwierzaka. Ona nie jest głodna, tylko zła, że Tillie ośmieliła się jeść, zanim ona nie napchała się do pełna. Łapczywa małpa! Chciałbym, żebyśmy byli już w domu i żebym nigdy już nie musiał widzieć na oczy żadnego zwierzaka.

Popatrzył groźnym wzrokiem na starszą szympansicę, a małpa zrobiła minę i zaskrzeczała na niego w odpowiedzi, z otwartym wyzwaniem.

Rizzo odparł:

— Okay, okay. Co będziemy tu siedzieć. Koniec karmienia. Zabierajmy się stąd.

Przeszli koło zagród dla kóz, króliczych skrzyń i klatek dla chomików.

Larsen stwierdził zgorzkniale:

— Człowiek zgłasza się na ochotnika na wyprawę badawczą. Wychwalają go jak bohatera. Wysyłają go w drogę z wielką pompą… a potem robią z niego dozorcę w zoo.

— Ale dostajesz podwójną pensję.

— No dobrze, i co z tego? Nie pisałem się tu tylko dla pieniędzy. Na odprawie przed startem opowiadali, że jest nawet ryzyko, iż możemy nie

wrócić, że skończymy jak Saybrook. Zgłosiłem się, ponieważ chciałem robić coś ważnego.

— Po prostu wzór cholernego bohatera — stwierdził Rizzo.

— Nie jestem niańką dla zwierzaków.

Rizzo zatrzymał się, żeby wyciągnąć z klatki chomika i pogłaskać go.

— Hej — powiedział, — czy pomyślałeś kiedykolwiek, że któraś z tych samiczek mogłaby mieć w brzuchu parę malutkich ślicznych chomiczków, świeżo poczętych?

— Mądrala! Są codziennie badane.

— Pewnie, pewnie. — Położył palec na pyszczku zwierzątka, które szturchnęło go noskiem. — Ale powiedzmy, że któregoś dnia rano przychodzisz, a one tu są. Nowe malutkie chomiczki, patrzące do góry na ciebie, z miękkimi, zielonymi kępkami błyszczącego futerka w miejscu gdzie powinny mieć oczy.

— Zamknij się, na miłość Boską — wykrzyknął Larsen.

— Malutkie, miękkie zielone kępki błyszczącego futerka — powtórzył Rizzo i odłożył chomika z nagłym uczuciem niechęci.

***

Włączył znowu odbiór i zmienił punkt koncentracji. Na statku nie było chyba żadnego wyspecjalizowanego żywego fragmentu, który nie miałby swojego odpowiednika.

Było mnóstwo poruszających się na łapach, o rozmaitych kształtach, a także pływających i latających. Niektóre z latających były całkiem duże, z wyczuwalnymi myślami; inne były małe, stworzenia o muślinowych skrzydełkach. Te ostatnie wysyłały tylko wzorce wrażeń zmysłowych, do tego wzorce niedoskonałe, i nie dodawały niczego inteligentnego od siebie.

Były także nie poruszające się w ogóle, które, podobnie jak nieruchome w domu, były zielone, żyły korzystając z powietrza, wody i gleby. Stanowiły pustkę umysłową. Wyczuć można było tylko rozmytą, bardzo niewyraźną świadomość światła, wilgoci i siły ciążenia.

A każdy fragment, poruszający się czy nieruchomy, stanowił własną kpinę z życia.

Jeszcze nie. Jeszcze nie…

Stłamsił twardo, przepełniające go uczucia. Kiedyś, wtedy gdy te fragmenty przyleciały, wszyscy w domu próbowali im pomóc — zbyt szybko. To nie dało spodziewanych efektów. Teraz musi poczekać.

Żeby tylko te fragmenty go nie wykryły.

Jak do tej pory, nie udało im się to. Nie zauważyły, że leży w rogu kabiny pilotów. Żadne z nich nie pochyliło się nad nim, żeby go podnieść i pozbyć się ze statku. Wcześniej myślał, że nie wolno mu się poruszać. Ktoś mógłby zwrócić uwagę i zauważyć podobnego do robala stwora o długości niemal sześciu cali… Zauważyłby go, potem podniósł krzyk, i byłoby po wszystkim.

Teraz jednak, być może, odczekał już wystarczająco długo. Start był już dawno temu. Stery zostały zablokowane; kabina pilotów była pusta.

Nie potrzebował dużo czasu, żeby znaleźć szczelinę w pancerzu, wiodącą do niszy, w której znajdowały się jakieś przewody. Nie były one pod napięciem.

Przód jego ciała posłużył jako pilnik, który rozciął na pół przewód o dokładnie potrzebnej średnicy. Potem, sześć cali dalej, ponownie przeciął go na dwie części. Wepchnął wyciętą część kabla, znajdującą się przed nim, upakowując ją bez trudu w rogu niszy. Zewnętrzna otulina kabla zrobiona była z brązowego, elastycznego materiału, a rdzeń z błyszczącego, czerwonawego metalu. On sam, nie był w stanie odtworzyć rdzenia, oczywiście, ale to nie było potrzebne. Wystarczało, że pokrywająca go membrana, została uważnie wyhodowana, aby przypominać powierzchnię przewodu.

Odwrócił się i złapał odcięte kawałki przewodu przodem i tyłem. Zacisnął się wokół nich, korzystając ze swoich malutkich dysków przyssawkowych. Nie było widać nawet śladu łączenia.

Teraz nie mogli go już znaleźć. Nawet gdyby patrzyli prosto na niego, widzieliby jedynie ciągły odcinek przewodu.

Chyba żeby przyjrzeli się naprawdę bardzo dokładnie i zauważyli, że w pewnym miejscu tego określonego przewodu widać było dwie malutkie kępki miękkiego, lśniącego, zielonego futra.

— **T**o niesamowite — zauważył dr Weiss, — te malutkie zielone włoski, mogą tak wiele zrobić.

Kapitan Loring uważnie nalał brandy. W pewnym sensie, było to coś w rodzaju okazji do świętowania. Za dwie godziny będą już gotowi do Skoku przez hiperprzestrzeń, a za jakieś dwa dni powinni ponownie zobaczyć Ziemię.

— Przekonany jesteś, że zielone futro jest w gruncie rzeczy organem? — spytał.

— Bo jest — odparł Weiss. Brandy powodowała, że stawał się trochę wylewny, ale zdawał sobie sprawę z potrzeby tej celebracji, dobrze sobie zdawał. — Eksperymenty zostały przeprowadzone z trudem, ale były one zupełnie jednoznaczne.

Kapitan uśmiechnął się sztywno.

— „Z trudem", można tak to nazwać. Gdybym wiedział, nigdy bym nie podjął ryzyka, żebyś mógł je przeprowadzić.

— Nonsens. My wszyscy na tym statku jesteśmy bandą bohaterów. Wszyscy zgłosiliśmy się na ochotnika, wszyscy jesteśmy wspaniałymi mężczyznami, szarżującymi przy dźwiękach fanfar. Podjąłeś ryzyko lotu tutaj.

— A ty byłeś pierwszym, który wyszedł poza Barierę.

— Nie było to specjalnie ryzykowne — odparł Weiss. — Idąc, wypalałem ziemię przed sobą, nie mówiąc już o przenośnej Barierze, która mnie otaczała. Nonsens, drogi panie kapitanie. Niech każdy po powrocie

dostanie swój medal; niech go dostanie bez żadnej próby gradacji. Poza tym, jestem mężczyzną.

— No i jesteś wypełniony bakteriami aż potąd — ręka kapitana wykonała szybkie machnięcie, jakieś trzy cale nad głową jego rozmówcy. — Co czyni cię równie wrażliwym, jak kobietę.

Przerwali na chwilę, aby pociągnąć ze szklaneczek.

— Dolać? — spytał kapitan.

— Nie, dzięki. Już przekroczyłem swój limit.

— No to ostatni łyczek, za pomyślny lot. — Uniósł szklaneczkę mniej więcej gdzieś w kierunku Planety Saybrooka, obecnie już niewidocznej, której słońce obecnie zmieniło się tylko w jasną gwiazdę na płycie wizyjnej. — Za zielone włoski, które dały Saybrookowi pierwsze ostrzeżenie.

Weiss przytaknął.

— Na szczęście. Oczywiście, obejmiemy planetę kwarantanną?

Kapitan stwierdził:

— To nie wydaje się dostatecznie radykalne. Pewnego dnia, zawsze ktoś może tam przypadkowo wylądować. Ktoś, kto nie będzie miał nosa Saybrooka, ani jego jaj. Co by się stało, gdyby nie wysadził swojego statku w powietrze, tak jak Saybrook. Gdyby wrócił nim w jakieś zamieszkałe miejsce.

— Raczej wolałbym sobie tego nie wyobrażać. Ale, co innego możemy zrobić? Gdybyśmy potrafili wytworzyć samopodtrzymującą się reakcję atomową w żelazie, co jak mi mówiono jest teoretycznie niemożliwe, moglibyśmy wysadzić w cholerę całą tę planetę.

Kapitan spojrzał na niego ponuro.

— Jak myślisz, czy kiedyś może im się udać zbudować własne statki międzygwiezdne?

— Wątpię. Nie mam, oczywiście, żadnych dowodów. Tyle tylko, że oni mają tak zupełnie odmienną orientację. Cała organizacja ich życia wyeliminowała potrzebę stosowania narzędzi. O ile nam wiadomo, na planecie nie istnieją nawet kamienne toporki.

— Mam nadzieję, że masz rację. Och, Weiss, czy mógłbyś trochę pogadać z Drakem?

— Tym gościem z Galactic Press?

— Tak. Kiedy wrócimy, historia Planety Saybrooka dostanie się do wiadomości publicznej i nie wydaje mi się, żeby rozsądnie było robić z niej nadmierną sensację. Prosiłem Drake'a aby pozwolił ci skonsultować z nim całą tę sprawę. Jesteś biologiem i masz wystarczająco duży autorytet, aby wywrzeć na niego nacisk. Byłbyś taki miły?

— Cała przyjemność po mojej stronie.

Kapitan ze zmęczeniem zamknął oczy i wstrząsnął głową.

— Migrena, panie kapitanie?

— Nie. Myślałem tylko o biednym Saybrooku.

Był już zmęczony statkiem. Jakiś czas temu, przeszyło go dziwne, chwilowe uczucie, jakby coś wykręcało go na lewą stronę. Było to szalenie niepokojące i zaczął przeszukiwać umysły jaśniej myślących, w poszukiwaniu wyjaśnienia. Najwyraźniej, statek przeskoczył przez ogromne bezmiary kosmosu, przecinając je przy pomocy czegoś, nazywanego „hiperprzestrzenią”. Jasno myślący byli naprawdę genialni.

Ale… był już zmęczony statkiem. Było to tak daremne zjawisko. Te żywe fragmenty były dobre, jeśli chodzi o ich zdolności konstrukcyjne, co jednak stanowiło tylko miarę ich poziomu braku szczęśliwości. Starały się znaleźć w kontroli nad nieożywioną materią to, czego nie potrafiły znaleźć w sobie samych. W swej nieświadomej tęsknocie za kompletnością, budowali maszyny i przemierzali kosmos, szukając, szukając…

Stworzenia te, jak wiedział, z samej natury rzeczy, nie były w stanie znaleźć tego, czego szukały. A przynajmniej nie, w czasie który im dawał. Wzdrygnął się lekko na tę myśl.

Kompletność!

Te fragmenty nie znały nawet jej pojęcia. „Kompletność” była tu kiepskim określeniem.

W swej ignorancji, mogłyby nawet z nią walczyć. Był już jeden statek, który przyleciał kiedyś. Pierwszy statek, który zawierał wiele jasno myślących fragmentów. Były ich dwa rodzaje: dawcy życia i sterylni. (Jak odmienny był ten drugi statek. Jasno myślący wszyscy byli sterylni, podczas gdy inne fragmenty, rozmycie myślący i nie-myślący, wszyscy byli dawcami życia. To było dziwne.)

Jak chętnie poprzedni statek przywitany został przez całą planetę! Jeszcze pamiętał ten pierwszy intensywny szok, kiedy uświadomili sobie, że goście są fragmentami, a nie kompletnymi istotami. Szok, który utorował głowę do litości, a litość do działania. Nie było pewne, jak przybysze mogliby się wpasować w społeczeństwo, ale nie było żadnego wahania. Całe życie było święte i jakoś trzeba będzie znaleźć dla nich miejsce – dla nich wszystkich, od dużych jasno myślących, do malutkich, rozmnażających się w ciemności.

Ale, pomimo wszystko jakoś się przeliczyli. Nie udało im się poprawnie przeanalizować kierunku sposobu myślenia fragmentów. Jasno myślący zdali sobie sprawę z tego co im zrobiono i nie podobało im się to. Byli wystraszeni, oczywiście, nie rozumieli tego.

Najpierw zbudowali Barierę, a potem, później, zniszczyli się, rozsadzając statek na atomy.

Biedne, głupie fragmenty.

Przynajmniej tym razem będzie inaczej. Zostaną ocaleni, nawet wbrew sobie samym.

John Drake nigdy by tego nie powiedział w tak wielu słowach, ale był bardzo dumny ze swoich umiejętności pracy na fototypie. Miał model podróżny, w formie czarnej, plastikowej płyty, sześć na osiem, z cylindrycznymi wypukłościami na obu końcach, służącymi do

przytrzymania rolki cienkiego papieru. Chowało się go w brązowym, skórzanym futerale, wyposażonym w specjalne paski, które pozwalały zapiąć go sobie wokół pasa i przytrzymywały na jednym z bioder. Całość ważyła mniej niż funt.

Drake mógł obsługiwać go przy pomocy obu rąk. Jego palce biegały szybko i swobodnie, naciskając leciutko dokładnie w wybranych miejscach czystej powierzchni papieru i bezgłośnie zapisując kolejne słowa.

Popatrzył z zamyśleniem na początek swojego tekstu, a potem uniósł wzrok na dr Weissa.

— Jak pan myśli, panie doktorze?

— Zaczyna się nieźle.

Drake skinął głową.

— Myślałem, że może lepiej będzie zacząć od samego Saybrooka. Tam w domu, nie opublikowano jeszcze jego historii. Szkoda, że nie mogłem zerknąć do jego oryginalnego raportu. A tak przy okazji, jak udało mu się go przekazać?

— O ile wiem, spędził ostatnią noc na przesyłaniu go przez sub-eter. Kiedy skończył, zrobił zwarcie w silnikach i w milionową sekundy później cały statek zmienił się w chmurę dymu. Razem z nim samym oraz jego załogą.

— Co za człowiek! Doktorze, pan siedział w tym od samego początku?

— Nie od początku — łagodnie poprawił go Weiss. — Dopiero od chwili odebrania raportu Saybrooka.

Mimowolnie jego myśli powędrowały w przeszłość. Przeczytał ten raport, zdając sobie nawet wtedy sprawę jak cudowna musiała wydawać się ta planeta, kiedy ekspedycja kolonizacyjna Saybrooka po raz pierwszy do niej dotarła. Stanowiła ona praktycznie kopię Ziemi, z bujnym życiem roślinnym i wyłącznie roślinożerną fauną.

Tylko te niewielkie kępki zielonego futra (jak często używał tej frazy w tym co mówił i myślał) wydawały się dziwne. Żaden z żywych osobników na Planecie nie miał oczu. Zamiast nich było to futro. Nawet rośliny je miały, każde źdźbło, liść, czy też kwiat posiadało dwie kępki jeszcze bardziej intensywnej zieleni.

Wtedy Saybrook zauważył, zdziwiony i zdumiony, że na planecie nie było konfliktów o jedzenie. Wszystkie rośliny wypuszczały mięsiste wyrostki, które były zjadane przez zwierzęta. Odrastały one w ciągu kilku godzin. Żadne z innych części roślin nie były ruszane. Wyglądało jakby rośliny karmiły zwierzęta jako część porządku natury. Zaś same rośliny nie rozrastały się w nadmiernej ilości. Niemalże tak jakby były uprawiane, rozprzestrzeniały się po dostępnych zasobach gleby w sposób bardzo wybiórczy.

Jak wiele czasu, zastanawiał się Weiss, mógł mieć Saybrook na to, aby zaobserwować dziwne prawo i porządek, panujące na planecie? Fakt, że owady utrzymywały swoją liczność na rozsądnym poziomie, pomimo tego że nie zjadały ich żadne ptaki. Że gryzoniowate stworzenia nie rozmnażały się nadmiernie, pomimo że nie było mięsożerców, utrzymujących ich pogłowie pod kontrolą.

— **A** potem miał miejsce incydent z białymi szczurami.

Weiss stwierdził tu pewną nieścisłość. Poprawił:

— Och, jedna rzecz, panie Drake. Chomiki nie były pierwszymi zwierzętami, które pojawiają się w tej historii. To były białe szczury.

— Białe szczury — powtórzył Drake, robiąc poprawki w swoich notatkach.

— Każdy statek kolonizacyjny — powiedział Weiss, — zabiera grupę białych szczurów w celu testowania różnych obcych produktów żywnościowych. Szczury, oczywiście, są bardzo podobne do ludzi z żywieniowego punktu widzenia. Naturalnie, zabierane są tylko samice białych szczurów.

Naturalnie. Jeśli obecna była tylko jedna płeć, nie było niebezpieczeństwa niekontrolowanego rozmnażania się, w przypadku gdyby planeta okazała się odpowiednia. Pamiętajmy sprawę królików w Australii.

— A tak przy okazji, dlaczego nie używa się samców? — spytał Drake.

— Samice są twardsze — odparł Weiss, — co szczęśliwym zbiegiem okoliczności, pozwoliło od razu wyjaśnić sytuację. Okazało się nagle, że wszystkie szczury noszą młode.

— No tak. Teraz już rozumiem, dzięki panu mam szansę żeby pewne rzeczy sobie wyprostować. Tak dla mojej informacji, panie doktorze, w jaki sposób Saybrook dowiedział się, że szczurze rodziny miały się powiększyć?

— Przypadkiem, oczywiście. W trakcie badań pokarmowych szczury są sekcjonowane, w poszukiwaniu śladów uszkodzeń wewnętrznych. Musieli odkryć ich stan. Dokonano sekcji paru kolejnych; te same wyniki. W końcu wszystkie które żyły, okazało się że będą mieć młode – pomimo braku samców szczurów na pokładzie!

— Zaś problem polegał na tym, że wszystkie młode urodziły się z małymi zielonymi kępkami futra zamiast oczu.

— Zgadza się. Saybrook tak twierdził i zgadzamy się z nim. Po szczurach, problem ten dotknął kotkę należącą do jednego z dzieci. Kiedy w końcu się okociła, małe nie urodziły się z zamkniętymi oczyma, lecz z małymi kępkami zielonego futra. Na pokładzie nie było kocura.

W końcu Saybrook przebadał kobiety. Nie powiedział im, dlaczego. Nie chciał ich straszyć. Wszystkie one były we wczesnym stadium ciąży, poza kilkoma, które były już brzemienne wchodząc na statek. Oczywiście, Saybrook nie czekał, aż któreś z dzieci się urodzi. Wiedział, że nie będą miały oczu, tylko lśniące kępki zielonego futra.

Nawet przygotował kultury bakteryjne (Saybrook był dokładnym człowiekiem) i stwierdził, że każdy, najmniejszy nawet drobnoustrój, ma mikroskopiczne zielone plamki.

Drake był podekscytowany.

— To jest znacznie więcej, niż powiedziano nam przed startem – a przynajmniej na odprawach, które ja przeszedłem. Ale jeśli przyjmiemy

nawet, że życie na Planecie Saybrooka zorganizowane jest w zunifikowaną całość, jak to się dzieje?

— Jak? A jak komórki pańskiego organizmu zorganizowane są w zunifikowaną całość? Niech pan wyodrębni ze swego ciała pojedynczą komórkę, nawet komórkę mózgową, czymże ona jest sama w sobie? Niczym. Malutką bryłką protoplazmy z niewiele większą możliwością do jakiegokolwiek ludzkiego zachowania, niż ameba. A prawdę mówiąc, nawet z mniejszą, ponieważ nie mogłaby ona żyć samodzielnie. Ale jeśli złoży się komórki razem, to otrzyma pan coś co jest w stanie wynaleźć statek międzygwiezdny albo napisać symfonię.

— Chwytam ideę — powiedział Drake.

Weiss mówił dalej.

— Wszystkie żywe stworzenia na Planecie Saybrooka stanowią pojedynczy organizm. W pewnym sensie, wszystkie żywe stworzenia na Ziemi, również, ale to są zależności typu walki, każdy każdemu wilkiem. Bakterie wiążą azot; rośliny wiążą węgiel; zwierzęta zjadają rośliny i siebie nawzajem; rozkład przez bakterie dotyczy ich wszystkich. Zatacza to pełny krąg. Każdy chwyta tak wiele, jak tylko zdoła, a potem z kolei on jest chwytany.

Na Planecie Saybrooka każdy organizm ma swoje miejsce, tak jak każda komórka w pańskim ciele. Bakterie i rośliny produkują pożywienie, którego nadmiar zjadany jest przez zwierzęta, dostarczające z kolei dwutlenku węgla i odpadów azotowych. Nic nie jest wytwarzane w ilości większej ani mniejszej, niż potrzeba. System życiowy jest inteligentnie modyfikowany aby dostosować się do miejscowego środowiska. Żadna z grup żywych stworzeń nie rozmnaża się w większym ani mniejszym stopniu, niż to jest potrzebne, dokładnie tak samo jak komórki w pańskim ciele przestają się namnażać, kiedy jest ich dosyć do określonego celu. Kiedy nie przestają się mnożyć, nazywamy to rakiem. I tym tak naprawdę jest życie na Ziemi, ten rodzaj organizacji jaki my posiadamy, w porównaniu do tego na Planecie Saybrooka. Jednym ogromnym rakiem. Każdy gatunek, każdy osobnik, stara się jak tylko może, aby żyć kosztem wszystkich innych gatunków i osobników.

— Zabrzmiało to tak, jakby aprobował pan to co się dzieje na Planecie Saybrooka, panie doktorze?

— W pewien sposób, tak. To ma sens z punktu widzenia samego życia. Jestem w stanie zrozumieć ich sposób postrzegania nas. Powiedzmy, że któraś z komórek pańskiego ciała byłaby świadoma efektywności ciała człowieka, w porównaniu z samą sobą i mogłaby zdać sobie sprawę z tego, że jest ona jedynie wynikiem zjednoczenia wielu komórek w pewną wyższą całość. Przypuśćmy dalej, że dowiedziałaby się ona o istnieniu komórek żyjących swobodnie, wyłącznie swoim życiem i niczym więcej. Mogłaby poczuć bardzo silne pragnienie wciągnięcia tych biednych

stworzeń do organizacji. Mogłoby jej być ich żal, niewykluczone, że poczułaby w sobie coś w rodzaju ducha misyjnego. Te stworzenia na Planecie Saybrooka – czy też to stworzenie; należałoby pewnie raczej użyć liczby pojedynczej – może coś takiego właśnie czuć.

— I chce ruszyć sprawę naprzód przez wywoływanie dziewiczych narodzin, he, panie doktorze? Mógłbym łatwo przejechać się po takim podejściu. Prywatność i tego rodzaju sprawy, wie pan.

— Nie ma w tym niczego obscenicznego, panie Drake. Już od stuleci potrafimy zmusić do rozwoju zarodki ukwiałów, pszczół, żab i tak dalej, bez udziału czynnika męskiego. Czasami wystarczy po prostu dotknięcie igłą, albo zanurzenie w roztworze właściwej soli. Stworzenie na Planecie Saybrooka może spowodować zapłodnienie przez użycie w kontrolowany sposób energii promienistej. To dlatego właśnie Bariera Energetyczna je powstrzymuje; interferencja, rozumie pan, albo zakłócenia.

Są w stanie zrobić znacznie więcej, niż tylko stymulować podział i rozwój niezapłodnionego jajeczka. Potrafią odcisnąć swoje charakterystyki na zawartych w nim nukleoproteinach, tak że młode rodzą się z małymi kępkami zielonego futra, służącymi jako organy zmysłowe planety i środek komunikacji z nią. Innymi słowy, młode nie są już odrębnymi osobnikami, ale stają się częścią stworzenia na Planecie Saybrooka. Stworzenie to, zupełnie nieprzypadkowo, potrafi wniknąć do każdego gatunku – roślin, zwierząt, czy drobnoustrojów.

— Niezła potencja — wymruczał pod nosem Drake.

— Totipotencja[1] — ostro wtrącił dr Weiss. — Uniwersalna potencja. Każdy jego fragment jest totipotentny. Przy odpowiedniej ilości czasu, nawet pojedyncza bakteria z Planety Saybrooka może przekonwertować całą Ziemię w jeden organizm! Mamy na to dowód eksperymentalny.

Drake nieoczekiwanie oznajmił:

— Wie pan, panie doktorze, wydaje mi się, że jestem milionerem. Potrafi pan dotrzymać tajemnicy?

Weiss skinął głową, zaintrygowany.

— Mam pamiątkę z Planety Saybrooka — powiedział, uśmiechnięty od ucha do ucha Drake. — To tylko kamyk, ale kiedy ludzie skojarzą fakt że od tej chwili planeta zostaje objęta kwarantanną, ten kamyk będzie jedynym jej fragmentem, jaki ktokolwiek kiedykolwiek będzie mógł zobaczyć. Jak pan myśli, ile za niego będę mógł dostać?

Weiss patrzył na niego zdumiony.

— Kamyk? — Chwycił za pokazany mu przedmiot, szary, twardy owal. — Nie powinien pan tego robić, Drake. To absolutnie wbrew wszelkim przepisom.

— Wiem. Dlatego właśnie pytałem, czy potrafi pan dochować tajemnicy. Gdyby mógł pan dać mi pisemne poświadczenie autentyczności… *O co chodzi, panie doktorze*!?

[1] Totipotencja - zdolność komórek do różnicowania się w dalszym rozwoju w dowolny rodzaj komórek (przyp. tłum.).

Zamiast odpowiedzieć Weiss był w stanie tylko coś wybełkotać i wskazać palcem. Drake podbiegł do niego i popatrzył na kamyk. Wyglądał tak samo jak przedtem…

Poza tym, że padające pod kątem światło pokazało na nim dwie małe zielone plamki. Po bliższym przyjrzeniu widać było że są to kępki zielonych włosów.

Był zaniepokojony. Na statku zapanowała ewidentna atmosfera zagrożenia. Ktoś podejrzewał jego obecność na pokładzie. Jak to się mogło stać? Jeszcze niczego nie zrobił. Czyżby jakiś inny fragment domu znalazł się na pokładzie i był mniej ostrożny? To było niemożliwe bez jego wiedzy, a – chociaż sondował statek intensywnie – niczego nie znalazł.

A potem podejrzenia rozwiały się, ale nie do końca wygasły. Jeden z jasno-myślących ciągle się nad tym zastanawiał i zmierzał prosto ku prawdzie.

Ile czasu zostało jeszcze do lądowania? Czy mogła istnieć cała planeta żywych fragmentów, pozbawionych kompletności? Przywarł mocniej do końców rozciętego przewodu, w celu imitacji którego został specjalnie zrodzony, bojąc się wykrycia, bojąc się swej altruistycznej misji.

Dr Weiss zamknął się w swojej kajucie. Znajdowali się już w Układzie Słonecznym i za trzy godziny mieli lądować. Musiał pomyśleć. Miał trzy godziny, w czasie których trzeba było podjąć decyzję.

Diabelski „kamyk" Drake'a, oczywiście, był częścią zorganizowanego życia Planety Saybrooka, ale był martwy. Był martwy, już kiedy po raz pierwszy zobaczył go na oczy, a jeśli nawet nie, to z pewnością był martwy kiedy znalazł się w silniku hiperatomowym i został przekształcony w rozbłysk czystej energii. Zaś kultury bakteryjne ciągle wyglądały normalnie, kiedy targany niepokojem Weiss je sprawdzał.

Nie była to rzecz, która martwiła Weissa obecnie.

Drake zabrał „kamyk" w czasie ostatnich godzin pobytu na Planecie Saybrooka – po załamaniu Bariery. A co jeśli jej załamanie było wynikiem powolnej, nieodpartej presji mentalnej ze strony części stworzenia na planecie? Co jeśli jego elementy czekały aby zaatakować, kiedy Bariera opadnie? Jeśli „kamyk" nie był dostatecznie szybki, ale był w stanie się poruszać, tyle że nie zdążył pokonać Bariery i został zabity po ponownym jej uruchomieniu. Leżałby tam sobie, aż w końcu Drake zobaczył go i podniósł.

To był „kamyk", a nie naturalna forma życia. Ale czy znaczyło to, że nie był on jakiegoś rodzaju żywą istotą? Mógł stanowić celowy wytwór jedynego organizmu planety – stworzenie celowo zaprojektowane, aby wyglądało jak kamyk, pozornie nieszkodliwy, nie budzący podejrzeń. Innymi słowy, kamuflaż, sprytny i przerażająco skuteczny kamuflaż.

Czy jakiemuś innemu zakamuflowanemu stworzeniu nie mogło udać się pokonanie Bariery zanim została ona uruchomiona ponownie –

stworzeniu o odpowiednio dobranym kształcie wyciągniętym z umysłów obecnych na pokładzie statku ludzi, przez czytający myśli organizm żyjący na planecie? Czy nie mógłby mieć wyglądu na przykład kartki papieru? Ornamentowanej mosiężnej głowy gwoździa na staromodnym fotelu kapitana? I jak niby mieliby go znaleźć? Czy byliby w stanie przeczesać wszystkie części statku w poszukiwaniu wiele mówiących zielonych kępek – nawet o wielkości pojedynczych mikrobów?

I po co ten kamuflaż? Czy miał on zamiar przez jakiś czas pozostać niewykryty? Dlaczego? A co jeśli miał poczekać na lądowanie na Ziemi?

Infekcja po wylądowaniu nie mogłaby zostać wyleczona poprzez wysadzenie statku w powietrze. Bakterie na Ziemi, pleśnie, drożdżaki i protozoa poszłyby na pierwszy ogień. W ciągu roku nieludzkie młode zaczęłyby się pojawiać w niezliczonych miliardach.

Weiss zamknął oczy i zaczął przekonywać sam siebie, że być może nie byłaby to znów aż taka straszna rzecz. Nie byłoby więcej chorób, ponieważ bakterie nie mogłyby się mnożyć kosztem swojego gospodarza, a zamiast tego byłyby zaspokajane rozsądnym udziałem w tym co było dostępne. Skończyłoby się przeludnienie; hordy Wschodniej Azji zredukowałyby się tak by dostosować się do zasobów żywnościowych. Nie byłoby więcej wojen, przestępczości, chciwości.

Ale nie byłoby więcej również żadnej indywidualności.

Ludzkość znalazłaby bezpieczeństwo, stając się trybem w biologicznej maszynie. Człowiek stałby się bratem każdego drobnoustroju, czy też żywej komórki.

Wstał. Musiał porozmawiać z kapitanem Loringiem. Mogli wysłać swój raport i wysadzić statek, tak samo jak zrobił to Saybrook.

Usiadł z powrotem. Saybrook miał dowody, podczas gdy on miał tylko wytwory przerażonego umysłu, nękanego przez obraz dwu zielonych plamek na kamieniu. Czy mógł zabić dwustu obecnych na pokładzie statku ludzi wyłącznie na podstawie wątłego podejrzenia?

Musiał myśleć!

Pozostawał w stanie najwyższego napięcia. Dlaczego musiał czekać? Czy nie mógł powitać tylko tych, którzy byli na pokładzie statku? Teraz!

A jednak chłodniejsza, bardziej rozsądna część jego umysłu mówiła mu, że nie wolno mu tego robić. Potomkowie małych drobnoustrojów w nieświadomości zdradziliby swój nowy status w ciągu piętnastu minut, a jasno myślący mieli ich pod ciągłą obserwacją. Nawet na milę ponad powierzchnią ich planety, byłoby za wcześnie, ponieważ ciągle mogliby się zniszczyć i wysłać swój statek w kosmos.

Lepiej poczekać, aż główne śluzy powietrzne statku zostaną otwarte i powietrze planety popłynie do środka wraz z milionami malutkich drobnoustrojów. Lepiej powitać każdego z nich w braterstwie zjednoczonego życia i pozwolić im wypłynąć na zewnątrz, aby rozniosły wieści.

Wtedy trzeba to zrobić! Kolejna planeta zostanie zorganizowana, kompletnie!

Czekał więc. Wyczuwał głuche dudnienie silników, pracujących z mozołem aby kontrolować powolne opadanie statku; wstrząs kontaktu z powierzchnią planety, a potem…

Pozwolił aby radość jasno myślących zalała jego zmysły odbiorcze, a jego własne radosne myśli popłynęły w odpowiedzi do nich. Wkrótce będą w stanie je odbierać, równie dobrze jak on sam. Być może nie te konkretne fragmenty, ale fragmenty które wyrosną z tych zdolnych do kontynuacji życia.

Główne śluzy miały właśnie zostać otwarte…

I wszystkie jego myśli zgasły.

Jerry Thorn pomyślał: „Do diabła, coś jest znowu nie tak!”.

Powiedział do kapitana Loringa:

— Przepraszam. Zdaje się, że to załamanie zasilania. Włazy się nie otworzyły.

— Jest pan pewien, Thorn? Światła ciągle działają.

— Tak, panie kapitanie. Sprawdzamy co się stało.

Zerwał się i dołączył do Rogera Oldenna przy puszce z okablowaniem śluzy.

— Co się dzieje?

— Daj mi chwilę, dobrze? — ręce Oldenna zajęte były robotą. Po chwili odpowiedział: — Na miłość Boską, w dwudziestoamperowym przewodzie jest sześciocalowa przerwa.

— Co? To niemożliwe!

Oldenn podniósł do góry przerwane kable, z równymi, ostro odciętymi końcami.

Dr Weiss dołączył do nich. Wyglądał na zmęczonego, a w jego oddechu czuć było zapach brandy.

Zapytał wstrząśniętym głosem:

— Co się tu stało?

Wyjaśnili mu. Brakujący odcinek leżał na dnie puszki, w jednym z rogów.

Weiss nachylił się. Na dnie puszki widać było jakąś czarną rzecz. Dotknął jej palcem. Brudziła, pozostawiając na czubku palca jakby plamę sadzy. Otarł ją z roztargnieniem.

To mogło być coś, co zajęło miejsce brakującego odcinka przewodu. Coś co było żywe i wyglądało tylko jak przewód, a jednak coś co rozgrzało się, umarło i zwęgliło w ułamku sekundy, kiedy obwód elektryczny, który sterował śluzą powietrzną został zamknięty.

Stworzenie z Planety Saybrooka, pomyślał Weiss, nie było stworzone do tego, aby rozumieć rzeczy nieożywione. Nie zdawało sobie sprawy z tego, że przewód, który nie jest pod napięciem, nie zawsze taki będzie.

Zapytał:

— Co z bakteriami?

Jeden z marynarzy wyszedł, aby sprawdzić, wrócił i zameldował:

— Wszystko normalnie, panie doktorze.

W międzyczasie przewody zostały połączone, śluzy otwarte, a doktor Weiss wyszedł na zewnątrz zanurzając się w anarchistycznym żywym świecie, jakim była Ziemia.

— Anarchia — oznajmił, z nieco szalonym śmiechem. — I wszystko tak pozostanie.

KONIEC